

WYWIAD ZE STANISŁAWEM USTUPSKIM

Sylwetka Stanisława Ustupskiego:

Stanisław Ustupski to zdecydowanie najwybitniejszy polski kombinator ostatniego ćwierćwiecza urodziny w 1966 roku w Zakopanem. Do największych sukcesów należy oczywiście jedyne podium Polaka w zawodach Pucharu Świata, a więc drugie miejsce w Breitenwang (1989). Nasz zawodnik poza tym jeszcze cztery razy meldował się w dziesięć zawodów Pucharu Świata - był szósty, siódmy i dwukrotnie dziewiąty. Kolejnym znaczącym osiągnięciem było 8. miejsce na Igrzyskach Olimpijskich w Albertville (1992). W IO w Lillehammer (1994) był 21. Trzykrotnie startował w Mistrzostwach Świata. W Oberstdorfie (1987) zajął 31. miejsce, w Lahti (1989) 22. miejsce, a w Val di Fiemme (1991) 26. miejsce.

Był także dwukrotnym medalistą Uniwersjady w 1993 roku rozgrywanej w Zakopanem: srebrnym w kombinacji norweskiej i brązowym w drużynowym konkursie skoków narciarskich. Dwukrotnie stał na podium w zawodach Pucharu Świata B w dwuboju zimowym. Zwyciężył w Szczyrku (1992), a w Planicy (1990) zajął trzecie miejsce.

Siedem razy z rzędu zdobywał mistrzostwo Polski w kombinacji norweskiej: w 1988, 1989, 1990, 1991, 1992, 1993 i 1994. Był też wicemistrzem Polski w tej konkurencji w 1987. W 1994 roku wywalczył także srebrny (duża skocznia) i brązowy (średnia skocznia) medal na Mistrzostwach Polski w skokach narciarskich. Na większym obiekcie przegrał z Wojciechem Skupieniem i Adamem Małyszem, a na mniejszym uległ tylko Małyszowi, który w tym czasie także był jeszcze kombinatorem norweskim. W tym samym roku (1994) wywalczył także medal w sztafecie w biegach narciarskich. Łącznie ma na swoim koncie dwa srebrne medale w biegowych sztafetach.

Dwukrotnie zwyciężył w Memoriale Bronisława Czecha i Heleny Marusarzówny. W 1986 roku (jeszcze jako junior) i w 1988 roku. Warto zaznaczyć, że w 86 roku pokonał Jana Klimko, który zajął wówczas trzecie miejsce.

Konrad Rakowski: Jakby Pan podsumował swoją zawodniczą karierę w kombinacji norweskiej? Czy jest Pan zadowolony ze swoich osiągnięć?

Stanisław Ustupski: Tak nie do końca jestem zadowolony. Niektóre z moich sportowych marzeń się nie spełniły. To były też czasy w których ciężiej było coś osiągnąć. Moim zdaniem i tak wiele wskórałem, ale to przede wszystkim dzięki sobie. Byłem zawodnikiem upartym, dążącym do czegoś i wiedziałem czego od siebie chcę. Osiągnąłem dużo więcej niż niektóre osoby się spodziewały. Do końca nie jestem zadowolony. Sukcesów trochę było i jakąś satysfakcję też mam. Czasami chodziło o to, żeby udowodnić niektórym ludziom, że warto na mnie postawić. Są zawodnicy, którzy się w takiej sytuacji poddają, a mnie takie rzeczy motywowały. Niektórzy sobie z tego sprawy nie zdawali.

Rafał Snoch: Kto był Pana trenerem w czasach zawodniczych?

SU: Zacząłem z Józefem Tylkiem, później Franek Groń. Jako junior młodszy dostałem się do kadry prowadzonej przez Apoloniusza Tajnera. Trochę tych trenerów miałem, bo byłem też w skokach w kadrze juniorskiej. Jeździliśmy wtedy ze ś.p. Lechem Nadarkiewiczem i ś.p. Józkiem Przybyłą. W tamtych czasach byłem w dwóch kadrach. Warto też wspomnieć o Panu Tadku Kaczmarczyku, który zawsze mnie dobrze rozumiał. Pan Tadek wychował mistrzów olimpijskich i mistrzów świata. Szwajcar Kempf to jego wychowanek, trenowali w szkole sportowej w Stams. Pan Tadek mi opowiadał jak było z Hyppim. Kempf w 1987 r. (rok przed IO 1988 w Calgary) podszedł do pan Tadka i mówi: "Panie Tadku, jak będę mistrzem olimpijskim, to trenuję dalej kombinację, a jak nie to przechodzę na biegi". No i Pan Tadek miał dylemat, bo tam też musisz mieć ileś osób, aby grupa mogła funkcjonować. Kempf był bardzo uparty i zdobył to złoto. A pamiętam jak w juniorach startowaliśmy w 85 czy 86, to skakał jak łamaga, wydawało się, że się zabije w powietrzu. A Pan Tadek miał podejście do chłopców i pomógł Hyppiemu się przygotować. Do mnie też, myśmy się czuli na odległość nie raz.

KR: Co uznaje Pan za swój największy sukces? 8. miejsce na IO w Albertville czy może 2. miejsce w zawodach PŚ w Breitenwang?

SU: Drugie miejsce w Pucharze Świata. Zdecydowanie.

KR: Jak Pan wspomina ten start? Spodziewał się Pan w czasie biegu, że uda się wdrzeć na podium i osiągnąć taki historyczny wynik?

SU: Powiem szczerze, że nie do końca się spodziewałem. Do szóstki wiedziałem, że wejdę, bo byłem w dobrej formie w tym okresie. Zawodnicy innych państw - Norwegowie, Niemcy czy Rosjanie, to mogę powiedzieć, że oni nawet mnie mobilizowali. Dużo o mnie rozmawiali też trenerzy. Znając siebie i swoje ambicje wiedziałem, że jest to możliwe, ale tak do końca to nie spodziewałem się aż tak dobrego występu. Po cichu liczyłem, że mogę zrobić niespodziankę sobie i kibicom. Tak się stało. Przede wszystkim wiele zawdzięczam ś.p. trenerowi Tadeuszowi Kaczmarczykowi. On będąc wtedy jeszcze w Austrii mnie mocno mobilizował i dopingował. To był 89 rok, także wtedy już troszeczkę planów treningowych miałem od Pana Tadka Kaczmarczyka. Przede wszystkim rozmowy z nim wiele mi dawały. To było na pewno ważnym czynnikiem. Jakby nie Pan Tadek, to tego sukcesu by nie było. Bieg był na 15 kilometrów. Wiedziałem, że różnie może się wydarzyć na trasie, ale byłem nastawiony bojowo i z dużą wiarą. Wspominam to bardzo dobrze. No ale wtedy to były bardzo różne kombinacje. Myśmy zawsze mieli problemy czy to ze smarami czy ze sprzętem.

W pewnym momencie zdecydowałem, że pobiegnę na treningowych nartach, które rzadko używałem, ale akurat trafił się taki śnieg, takie warunki. Na ten dzień to były świetne narty. Bez nich ciężko by mi było nawet wejść do tej szóstki. Technicznie byliśmy zawsze do tyłu. Ósme miejsce na Igrzyskach Olimpijskich jest na drugim miejscu i podium Pucharu Świata to jednak mój zdecydowanie największy sukces.

KR: Jakby Pan opisał walkę z Baardem Joergenem Eldenem na trasie? Czy miał Pan szansę powalczyć o zwycięstwo czy jednak Norweg był poza zasięgiem?

SU: Norweg, który wtedy wygrał, przyszedł do mnie po biegu z szampanem, bo mieliśmy naprzeciwko siebie pokoje. Odwiedził mnie po konferencji i powiedział "Stani jesteś bardzo dobry". Pomyślałem sobie "co jest?", przecież to on wygrał. To ja mu powinienem szampana postawić. On biegał wtedy najlepiej na świecie, nie oglądał się na rywali, ale kilka razy zdarzyło mi się, że podszedł do mnie po biegu i mi gratulował. Był taki moment w tym biegu, że mnie wyprzedził, ale już mi nie odleciał. Walczyliśmy o pierwsze miejsce. Także mówiąc szczerze z Eldenem nie wygrałem nigdy biegu, ale troszeczkę strachu mu też napędziłem. Myśmy nie mieli tak dobrych smarów, bo często wchodziły jakieś nowości. Jak pierwszy raz zapunktowałem w 89 roku w Reit im Winkl, to dzięki zagranicznemu koledze z Niemiec, Hansowi-Peterowi Pohlowi, który teraz komentuje zawody w niemieckim Eurosporcie. Dał mi taki smar, którego wtedy nie mieliśmy. Dzięki niemu zająłem siódme miejsce. To była taka śmieszna sprawa, bo jak go mijałem na drugim kółku, na jakimś siódmym kilometrze, to jeszcze mnie dopingował "dajesz Stani, dajesz Stani". I takie rzeczy naprawdę miło wspominam. Moja ambicja, moje zawzięcie i Ci chłopcy tak jak Elden, powodowali że mogłem myśleć o dobrych miejscach. Dzięki Eldenowi też byłem raz dosyć wysoko. Złamałem kijka, a miałem tylko jedną parę. Poszedłem do niego, chciałem kupić, a on mówi żebym sobie wybrał, którego chce. On miał prawie 1.85 m wzrostu, a ja biegałem na kijach prawie takich jak on. Był zdziwiony jak chciałem od niego kija kupić. "Na takich kijkach biegasz? Na takiej wysokości?", zapytał i podarował mi kijek. Nie chciał za niego pieniędzy. Im dłuższe ma się kije, to trzeba mieć więcej siły. Góra musi być mocna. Dzięki niemu bardzo dobrze pobiegłem i przyszedł mi pogratulować. Mam różne fajne wspomnienia, ale związane głównie ze światem, ale akurat nie z Polską i nie ze związkiem.

RS: To drugie miejsce uzyskał Pan w swoim pierwszym sezonie startów? Bo niestety wcześniejszych wyników spoza czołowej "15" nie mamy i nie wiemy czy Pan startował.

SU: Nie, nie. Już wcześniej startowałem. Wtedy jeszcze z Apoloniuszem Tajnerem trenowałem. Punkty, to był już wpływ Pana Kaczmarczyka. Jeszcze nie był w Polsce, ale już jego plany miałem. Rozmowy z nim. Zacząłem inaczej do tego podchodzić. Mentalna strona jest bardzo ważna.

RS: Ale też mieliście trudniej, bo trzeba było być w "15" żeby zdobyć punkty.

SU: I przelecieć piętnaście kilometrów (śmiech).

RS: I jeszcze trzy skoki z których dwa się liczyły.

SU: No później już tylko dwa, ale dobre trzeba było skoczyć obydwu. Chociaż dla mnie to było krzywdzące, bo zawsze trzeci skakałem najslabiej. Ja potrafiłem przeważnie pierwszy najlepiej skoczyć, czasem drugi. W trzecim zawsze najczęściej traciłem. On mi się nie liczył, ale inni nadrabiali, bo dopiero się rozkręcali wtedy. Takie zasady. Nawet raz nam w

Trondheim zrobili skoki na dużej skoczni i 20 kilometrów. Takie zawody. Wtedy byłem drugi, a Elden wygrał. Też nie dużo mnie pokonał, a trzeci dostał ode mnie ponad minutę. Bałem się tak tego biegu i sobie myślałem, dwadzieścia kilometrów. Jak tu pobiec.

RS: To był jakiś eksperyment?

SU: To było już robione pod kątem tych Pucharów Świata co teraz, ale jednak bieg skrócili. Miało być, że będzie dwadzieścia. Na pewno media nie puściły, bo to za długo by trwało.

RS: Czy w tamtych czasach były jakieś inne formaty niż Gundersen?

SU: Był moment, że wprowadzili sprinty, ale to po dwóch, parami. Wtedy Tadek Bafia wyjechał już do Kanady, a później żalował. We dwójkę wtedy byśmy szaleli. Nawet można było walczyć o wygraną. Tadek przy swoim skakaniu i bieganiu i ja również, mogliśmy być groźni. A tak to startowałem ze ś.p. Romkiem Grońskim. W Reit im Winkl to walczyliśmy ze Szwajcarami, z Kempfem i Schaadem. Ja Kempfa odlatywałem, a Schaad mijał Romka, i tak skończyliśmy, że ja na ostatniej zmianie pokonałem Hyppiego. Szwajcarzy przegrali z nami w skokach, Romek wystartował przed Schaadem, Schaad go doleciał, minimalnie odleciał. Ja Kempfa dolatywałem i odlatywałem i tak żeśmy biegli. Co innego jakby Tadek Bafia był. Tylko, że wtedy tam o 7-8. miejsce walczyliśmy.

KR: A jakieś starty specjalnie Panu odpowiadały?

SU: Mnie to było obojętne. Bo to trzeba myśleć, trzeba umieć biegać. Tak jak chłopcom mówię. Nie idę na trasę, żeby zrobić trening, tylko idę na trasę, żeby poznać tą trasę. Idziesz na trasę to myśl. Trzeba wiedzieć, gdzie jest jakaś nierówność. Gdzie jakaś hopka, gdzie można wykorzystać pewien odcinek, gdzie Ci narta sama odda prędkość, gdzie przyspieszyć. Taktyka, ale trzeba myśleć.

RS: Nie tylko zimowych sportach, ale ogólnie w sporcie jest wielu zawodników, którzy nie myślą.

SU: Tak, tak jak mówię - klapy na oczach i koniec.

RS: Jak Pan zaczynał, to obowiązywał jeszcze styl klasyczny w biegu i równoległe prowadzenie nart w skokach?

SU: Tak, tak, te zmiany zaczęły wchodzić dopiero w roku 1985 roku.

RS: Było ciężko się przestawić?

SU: Mnie nie. Mi akurat te zmiany dobrze przypasowały, ale klasykiem też dobrze biegałem. W Lillehammer jako juniorzy młodszy mogliśmy zdobyć medal, tylko Darek Matla nam spieprzył wtedy trochę. Startowaliśmy w składzie Tadek Bafia, ja i właśnie Darek. Wieczór przed zawodami Darek wyszedł i wrócił na drugi dzień o piątej rano. Poskakaliśmy dobrze, medal mieliśmy. Tadek poszedł na pierwszą zmianę i przylecieli we trzech: on, Norweg i Niemiec z NRD. Po mojej zmianie też byliśmy na 3. miejscu i przyszła kolej na Matłę, który najlepiej pobiegł z nas w biegu indywidualnym. Wtedy warunki były trochę inne. Ja taki chudziutki, szczupłutki, sił nie miałem jeszcze. Pamiętam jak wiał wtedy mocny wiatr, a ja nie mogłem kijów utrzymać na takiej odkrytej polanie. Dostałem wtedy od Matli coś koło

minuty. W sztafecie warunki już były lepsze. Nie miało znaczenia dla mnie czy biegałem łyżwą czy klasykiem. Zresztą i dzisiaj chłopcy czasami nie mają ze mną szans.

KR: Dlaczego na IO w 1992 r. w Albertville mimo dobrej forma Pana oraz Stefana Habasa, Polska nie wystartowała w konkursie drużynowym? Dlaczego nie wysłano trzeciego zawodnika?

SU: To są po prostu te układy i te spory, które są do dzisiaj. Między Zakopanem, a Śląskiem zawsze była walka. Zawsze są różne niedomówienia. Co ja tu będę mówił. Zawsze były te niezdrowe rywalizacje. Można było wystartować, ale akurat nie było ze Śląska żadnego chłopaka, który mógłby pojechać. Mógł z nami jechać ś.p. Romek Groński, ale to bylibyśmy sami Zakopianczycy i co będę Wam więcej mówił. Do dzisiaj są takie kompleksy Śląsk-Zakopane. Byliśmy wówczas ze ś.p. Romkiem z jednego klubu. Zresztą jemu też swego czasu pomogłem i mogliśmy tą kombinację dalej ciągnąć, ale tak się to wykruszało wszystko. Zresztą, to że w 1994 roku pojechałem na kolejną olimpiadę, to tylko dzięki mnie i swojej pracy. Nie miałem stypendium, nie miałem nic. Zostałem sam na lodzie i tylko moja upartość mi pomogła. Musiałem samochód sprzedać, żeby móc normalnie trenować.

KR: Kontynuując temat Igrzysk. Liczył Pan na więcej na skoczni lub w biegu?

SU: No tak, przede wszystkim na skoczni. Jedno wiąże się z drugim. Jeśli chodzi o bieganie, to potrafiłem się bardzo dobrze ustawić, nie potrzebowałem psychologów. Trenerzy m.in. austriaccy, czy też koledzy lub inni zawodnicy, wiedzieli na co mnie stać. Nie było tak, że jak skoczę dobrze, to będzie źle na trasie. Nie raz się pytali "jak się wyspałeś?" po dobrym konkursie skoków - wiadomo o co chodzi, czyli "jak polecę". Ale jak już mówiłem, skoki bardzo mocno wiążą się z biegiem. Gdybym skoczył to, na co było mnie stać, chociażby to co skoczyłem na treningu dzień wcześniej przed konkursem olimpijskim, to byłaby inna motywacja do biegu. Medal był w zasięgu. Teoretycznie były myśli o medalowej pozycji, ale wiedziałem, że z 18. miejsca po skokach nie ma szans. O "10" było ciężko, bo wiedziałem, że tam biegną Elden czy Apeland, 9.i 10. Także dwóch mocnych Norwegów, a jeszcze paru dobrych zostawiłem za sobą w polu, którzy równie dobrze mogli być w "10 " czy nawet "6". Wiedziałem, że nie ma walki o medal. A przecież zupełnie inaczej się walczy o medal, a inaczej o miejsce w "10". Po dwóch seriach byłem 14. (wtedy rozgrywano 3 serie i wybierano 2 najlepsze skoki) i już wtedy pozycja startowa byłaby trochę inna. Startujesz z tymi lepszymi i od razu inaczej się biegnie. I wynik w biegu też byłby lepszy. Miałem 8. czas biegu, ale już po skokach wiedziałem, że nie walczę o medal. Zależało mi tylko na tym, żeby wejść do "10", a przede wszystkim żeby nie zawieść samego siebie.

RS: W Lillehammer zajął Pan 21. miejsce. Jak Pan oceni ten start?

SU: A to co w Lillehammer, to śmiech na sali.

RS: Jak Pan wspomina te IO z 1992r.? To pewnie było niesamowite przeżycie dla sportowca pojechać na tak wielką imprezę?

SU: Ja się takimi rzeczami nigdy nie podniecałem. Robiło to wrażenie, wiadomo, po to się trenuje żeby wyjechać na te Igrzyska. Ale ja byłem skupiony i skoncentrowany na starcie tylko.

KR: Czy były w tamtych czasach nagrody finansowe/stypendia za miejsce w ósemce?

SU: Tak, dostałem jednorazowo 500zł od Komitetu Olimpijskiego. Nie było wtedy żadnych stypendiów. Ja miałem przecież klasę międzynarodową mistrzowską od 1988 r. Później ten rozpad komuny, no i w 1991 i 1992 nie było w ogóle stypendiów. Jeszcze w 91 chwilę były, a w 92 to do marca akurat. Tyle mi proponowali, że będę miał wszystko, a zostałem bez niczego po IO - najlepszy zawodnik z Polski. Miałem być tym motorem napędowym, kombinacja miała być na pierwszym miejscu, a okazało się, że nie miałem z kim trenować. W czerwcu zacząłem trenować z Lechem Pochwałą, trenerem od biegów. I tak wyszło, że zostałem bez niczego, bez środków do życia. Z klubu też mi wiele nie płacili. Później mi tam załatwili etat w Wiśle Kraków jako kierowca, żeby mieć jakąś pensję (tak jak dzisiaj z 800zł).

KR: Nie zastanawiał się Pan nad zmianą obywatelstwa?

SU: Nie, nie. Ja miałem propozycję trenowania w Kanadzie, ale odmówiłem. Jestem Polakiem i na IO będę startował jako Polak. Jestem patriotą. Też miałem propozycję w 1986 r. podczas MŚJ w USA żeby tam u nich zostać, ale odmówiłem.

KR: Pana najlepszym miejscem w klasyfikacji generalnej PŚ było 13. w sezonie 1988/89. Czy wynikało to z braku pieniędzy na startowanie, czy może brakowało sił po prostu pod koniec sezonu?

SU: To było co innego też. Powiem Wam jakie mieliśmy braki. Praktycznie ja już byłem wykończony, skurcze mnie takie chwytały, że nie dało się wytrzymać. W tamtych czasach nie mieliśmy żadnych kontroli, badań krwi, tego wszystkiego. W wielu kwestiach byliśmy z tyłu i nie chodzi tutaj tylko o smary i sprzęt. Mam tu na myśli sprawy medyczne. Mój organizm do lutego jeszcze to jakoś wytrzymał, a wiadomo, te puchary kończyły się w marcu. Do ostatnich zawodów w Falun i Oslo byłem 7. w generalce. Miałem walczyć o miejsce w "10" i tu właśnie szkoda było, bo już pan Tadek Kaczmarczyk miał dla mnie sponsora z Austrii jak zostanę w najlepszej dziesiątce PŚ. Zawsze krążyło wokół mnie jakieś fatum, jakiś niedobór czegoś, bo niby było w zasięgu ale nie było. Pamiętam jak Polo Tajner mówił "Staszek, bo się wycofałeś". A pamiętam wtedy w Falun musiałem zejść z trasy, bo już takie skurcze mnie łąpały, że leżałem na zjeździe. Kolega z Austrii pytał "Stani co Ci jest?", a ja leżałem i naciągałem nogę, ale musiałem zejść. Szkoda bo miałem szansę na szóstkę. Później pojechaliśmy do Oslo na Finał PŚ, gdzie zająłem 14. miejsce. Tam udałem się na kontrolę dopingową, podczas której lekarz powiedział mi, że jestem chory. Pomyślałem sobie doping. Nie, dostałem informację, że prawie mam anemię... Wiem, że stać było mnie na wiele, miejsce w czołowej dziesiątce generalki było na wyciągnięcie ręki.

RS: Tadeusz Bafia po Panu to miał chyba drugi najlepszy wynik w PŚ?

SU: Tak, 4. był w Oslo w 1987 r. I pojawiały się też takie anegdoty jak mówił do mnie żartobliwie "Ty kurduplu mały, Ty nigdy ze mną w biegu nie wygrasz". A ja mu na to "Pomału, pomału". Już w juniorach zacząłem z nim w biegu wygrywać. W 1986 r. wygrałem tutaj Memoriał Bronisława Czecha i Heleny Marusarzówny. Byli tutaj Rosjanie, Czechosłowacy, Niemcy, NRD-owcy. Także dla mnie jest to jeden z czołowych wyników, bo wygrałem z potęgą, która tu przyjeżdżała. To było prawie tak jak Puchary Świata dla nich, ten memoriał. Pamiętam też po Calgary jak wygrałem tutaj międzynarodowe MP. Przyjechało tu trzech zawodników z dziesiątki IO, dwóch Czechów (Kopal i Klimko) oraz Niemiec Prenzel. Wyłupiłem ich tutaj wszystkich. Skoki wygrał Vlado Repka, brat Frantiska, Tadek Bafia był

2., a ja byłem 3. Ja wtedy wygrałem, a następny miał chyba minutę czy półtorej straty. I wtedy się zrobił taki trochę szum. Media się pytały "dlaczego nie wzięli Ustupskiego na IO?". Skakało mi się wtedy naprawdę dobrze, ale miałem kontuzję ręki, a w grudniu rozciąłem sobie głowę na skoczni w Austrii w Bad Goisern po uderzeniu w ruski maszt. Były wtedy niebezpieczne warunki, został skrócony cały wybieg. Byłem wyłączony na około miesiąc i pojechałem na ostatni Puchar Świata. Miałem szansę się zakwalifikować w St Moritz, żeby zrobić wynik, wejść do dwudziestki i pojechać na IO. Ale tam kija złamałem. Już biegłem na 16. miejscu, z Klimko właśnie leciałem. Janko wtedy skończył około 10-12. miejsca. To ja się już śmiałem, wiedziałem, że go mam. Pierwsze 5 km poświęciłem, że pobiegnę z Janem, poczekałem na niego, bo przegrał ze mną skoki o około 10 sekund i biegliśmy pierwszą pętlę razem. Wiedziałem, że będę w dziesiątce, czułem to. Ale pech, takiego pecha miałem - skończyłem na 21. miejscu. I mnie nie wzięli, bo nie zrobiłem limitu. A byłem w takim gazie, bo dopiero dochodziłem do formy. Miałem swoje przejścia, miejsca w dziesiątce PŚ to powinna być dla mnie normalność.

KR: Pamięta Pan ilu zawodników startowało wtedy w zawodach PŚ?

SU: 60-70. Tak jak dzisiaj, były limity. Norwegowie, Austriacy, Niemcy czy Japończycy po 6-7-8. Myśmy mieli limit 4 zawsze. Rosjanie, Czesi po 5-6. Startowało wielu, ale nie było tyle państw. Później po rozpadzie ZSRR było tych państw więcej, bo doszły m.in. Kazachstan, Białoruś, Estonia. Ale na IO wiadomo, po czterech zawsze. Dlatego ja mówię, że na IO jest niby łatwiej trochę zdobyć, ale wcale też nie jest dużo łatwiej, bo psychika inna, emocje niesamowite, bo jednak IO. To wytrzymać, to jest coś. Ilościowo jest mniej zawodników, ale najlepsi są.

KR: O medal jest tak samo ciężko, a o dziesiątkę może trochę łatwiej, ale najłatwiej o trzydziestkę.

SU: Igrzyska mają tą swoją niepowtarzalną atmosferę. Choćby startowało tylko 30 zawodników, to o medal byłoby i tak ciężko.

RS: Pamiętajmy, że na IO jest nieporównywalnie więcej kibiców niż na PŚ. Teraz jak się spojrzy to w zawodach pucharowych jest garstka, a co innego na IO jak przyjdzie kilkadziesiąt tysięcy pod skocznię.

SU: Ja zawsze się bardziej bałem startów w Polsce niż za granicą. Tych kibiców, bo to zawsze taki dodatkowy stres u siebie. Ale dość dobrze mi to wychodziło. Umiałem przełamać ten stres. Zawsze się bałem, że zawiodę tych kibiców tutaj w kraju.

KR: Jak przeglądaliśmy wyniki, to widzieliśmy, że wygrał pan PŚ B w Szczyrku właśnie. Czy kibice przychodzili wtedy na takie zawody?

SU: Tak, przychodzili. W Planicy jak byłem 3. na PŚ B to też było dość sporo kibiców. Wtedy miałem też już praktycznie wygrane, ale wypięło mi nartę na podbiegu i musiałem się po nią wrócić tak ze 100 metrów. I przegrałem tylko 8 sekund ze Szwajcarem Glanzmannem. Ja te starty w PŚB traktowałem jednak typowo treningowo.

KR: Pamięta Pan jakiś swój najciekawszy epizod, jakąś ciekawą przygodę związaną z zawodami w zimowym dwuboju?

SU: To kilka już Wam wcześniej opowiedziałem. Swego czasu na zawodach któryś Austriak trafił na mojego kija. Akurat miałem limit zrobić, żeby do dziesiątki wskoczyć i pojechać na Igrzyska Olimpijskie. Wolałem za Polem o kijka, ale akurat Pola nie było na tym odcinku. Później dostałem kija od Polaków, bo stali na trasie. Kibicowali mi i dopingowali. Dostałem kija za krótkiego, później za długiego. Biegłem, biegłem, kombinowałem. Tak jak mówiłem, paru chłopaków jak Pohl czy Elden miło wspominać. To dzięki nim coś osiągnąłem - ten kij, tamten smar. Kiedy przybiegłem chyba szósty czy siódmy, to też dzięki Eldenowi. Miałem problemy, bo wchodziły wtedy nowe proszki. Też podszedłem do jego trenera, żeby mi dał pieniądze, że kupię za 100 czy 150 marek, bo tak kosztowały wtedy te proszki. Dał mi, ale mówił "Stani to tylko między nami". Akurat to mam miłe wspomnienia z tymi chłopcami.

Do tej kombinacji naszej, to ja Wam powiem szczerze, że o to mam pewien żal. Też tak mnie zostawiono, a ja poświęciłem 20 lat na ten sport. Później chciałem się zająć trenerką. Jeszcze mnie Pan Franciszek Gąsienica-Groń dopingował, mobilizował. Mówił "Staszek, Stani, Ty będziesz dobrym trenerem". On zauważył jak tam chłopcom pomagałem jak byłem zawodnikiem. Ja się starałem zawsze pomóc, uczyć ich czegoś. Później mnie zostawiono. Akurat jak skończyłem karierę, to było 75-lecie Polskiego Związku Narciarskiego. Nie dostałem wtedy nawet zaproszenia. Miałem wtedy wielki żal i jeszcze wtedy była żona się mnie pytała "Dlaczego Ciebie tam Stasiu nie ma", a mnie się płakać chciało. Tak mnie też potraktowali. Tą trenerką się trochę zajmowałem i paru chłopców wyszkoliłem. Tak jak Michał Pyclik czy Robert Dziurkiewicz - to moi wychowankowie. Dzisiaj Szczepan Kupczak - następny mój wychowanek czy jego brat Kacperek. Krzysiu Biegun w skokach - kolejny wychowanek z Gilowic, bo tam w tym klubie działałem. Jestem w takim na pewno można powiedzieć dołku psychicznym dzięki naszym działaczom. Chciałem się poświęcić do końca życia, bo sport, to dla mnie jest wszystko. Kiedyś nawet moja mama mówiła, że kiedyś do tego prezesa zadzwoni, albo pojedzie sama, bo wie ile poświęciłem. Też nie mieliśmy dobrych warunków. W jednym pokoju się wychowywaliśmy. Tata stolarz. Ja miałem czas na stolarkę, miałem czas przy krowach, miałem czas na sport. Poświęciłem się dla sportu i to wszystko, a później tak mnie zostawiono.

KR: Jak wyglądały przygotowania w Pańskich czasach? Jeździł Pan na zagraniczne zgrupowania?

SU: Ja nie mogę narzekać, bo myśmy przy Polu dobrze mieli. Przecież kolegowali się z prezydentem Kwaśniewskim. Aleksander był za naszych czasów przewodniczącym GKKFiT, czyli w Głównym Komitecie Kultury Fizycznej i Turystyki. Później był przecież w Komitecie Olimpijskim. Także myśmy naprawdę mieli wszystko czego potrzebowaliśmy. Wszystkie plany Pola były zatwierdzane. Mieliśmy dobrze. Wszystkie wyjazdy jakie zaplanował w kraju czy za granicą mieliśmy dobrze zorganizowane. Pod tym względem było dobrze i treningowo zapewnione mieliśmy wszystko. Jeśli chodzi o sprawy techniczne, to byliśmy zawsze do tyłu, ale jeśli chodzi o zgrupowania, to nie mam prawa narzekać. Zawsze jakieś problemy były, ale tak jak mówię - sprzętowe. Jak nie kombinezony, to smary, to narty.

KR: Na czym polega dieta zawodników? Jak to wyglądało w Pana czasach?

SU: Dieta, to po prostu pieniądze jakie zawodnik otrzymuje za podróż w obie strony w zależności od kilometrów albo czasu podróży jaki jest do pokonania. Taka jednorazowa wypłata, ale nie za każdy dzień zgrupowania, a po prostu za podróż. Dawniej za naszych

czasów dostawaliśmy dzienne kieszonkowe. To było około 15 marek za dzień. Coś zawsze można było zarobić.

KR: Kiedy patrzy Pan na treningi i przygotowania w obecnych czasach, to co sobie Pan myśli?

SU: Chłopcy często nie są nauczeni trenować. Naprawdę trzeba przelać trochę krwi i potu zostawić, żeby coś z tego było. Bo jak nauczysz tego za młodu, to zapocentuje to w przyszłości. Musisz umieć upaść na kolana i nie poddać się. Organizm też musisz zmusić prawie że do kompletnego wyczerpania. Do padnięcia na kolana. Z tego wstać i iść dalej. Bo jak nie wstaniesz, to już koniec. Słabości każdy biegacz ma. Jak jesteś wytrenowany bardzo dobrze, to to przezwycięzysz. Jak byłem dobrze wytrenowany, to wystarczył kawałek zjazdu i potrafiłem to przezwyciężyć. Byłem świeży. To jest kwestia wytrenowania i nie poddawania się.

RS: Ale to też trzeba organizm zahartować.

SU: To trzeba uczyć od młodego. Tego już nie nauczysz seniora.

KR: Jakby to Pan porównał swoje warunki treningowe z obecnymi warunkami kadrowiczów do treningu?

SU: Ja bym to trochę inaczej organizował przy tych środkach. Niekiedy są te pieniądze bez sensu wyrzucane. Obserwując plany startowe, to też nie do końca się z nimi zgadzam, bo nie zawsze zawodnicy startują tam gdzie powinni.

RS: To czy w polskiej kadrze zawodnicy mogą narzekać na warunki do treningów?

SU: Moim zdaniem nie ma powodów do narzekania. Jeśli ktoś by narzekał, to by świadczyło o tym, że jest trochę rozpuszczony. To w sporcie nie jest dobra cecha. Ja nie raz mówię zawodnikom - przypomnij sobie jak się wychowałeś, nie chciej nie wiadomo czego. Najważniejszy jest normalny, porządny trening, a efekty przyjdą. Nie można mieć wszystkiego.

KR: A czy od razu po zakończeniu kariery chciał się Pan zająć trenowaniem czy może miał Pan inne plany?

SU: Ja w ogóle planowałem jechać na Igrzyska Olimpijskie do Japonii. Wtedy to ja byłem w sile wieku i miałem dojrzałość jako sportowiec. Moim marzeniem było zakończenie kariery po IO w Nagano w 1998 roku. Nikt się mną nie zainteresował, zostawiono mnie samego. Próbowałem jeszcze gdzieś w klubie trenować, ale żona nie chciała żebym wyjeżdżał i ich zostawiał. Teścia miałem chorego, teściowa akurat zmarła po Igrzyskach Olimpijskich w Lillehammer. Tak mnie zostawiono, tak jakby zapomniano. Ja Wam powiem, że przez cztery lata, to ja się pozbierać nie mogłem. Nie raz koledzy czy sąsiedzi zaczepiali żonę - "gdzie ten Staszek się podziewa?". Czasami do Austrii wyjeżdżałem, bo z czegoś trzeba było żyć. Miałem braci, to tam pracowałem i jeździłem. Tak moje życie wyglądało. Kto wie jakby ta kombinacja wyglądała, jakby mi trochę pozwolono popracować z tą młodzieżą.

KR: O to miałem spytać, bo Jan Łowisz sobie chwalił współpracę z Panem, a Andrzej Gąsienica też wspominał o treningach z Panem.

SU: Przecież Jasia Łowisza to ja w ogóle nauczyłem biegać i zaszczerpiłem go w kombinację. On tylko skoki uprawiał z trenerem Kaziem Długopolskim. Wyciągnąłem go w Polsce na chłopca do czołówki. Zaczął wygrywać po niecałym sezonie, a przecież chłopak na biegówkach nie umiał biegać. Jasiu to jest też mój chłopak, o ile mogę tak powiedzieć.

KR: Kiedy Jan Łowisz zaczął tak na poważnie z Panem trenować?

SU: To był sezon 2007/08. Chłopcy z innych klubów byli dużo lepsi od niego, a tu nagle im wyrósł rywal. A ja widziałem w nim potencjał, bo to silny chłopak. W domu nie ma siedzenia, bo i trzeba do lasu i gospodarzkę obrobić. Do tego jest wytrzymały i uparty. No to co więcej? Tylko go teraz trzeba czegoś nauczyć i potrenować.

KR: A większy problem był ze skokami z czy z biegiem?

SU: Ze skokami Jasia był problem. Później go pilnowałem na skoczni i się w końcu chłopak przełamał. Bardzo dużo z nim rozmawiałem i ustawiałem, bo to jest ważne. Wprowadziliśmy trening mentalny. Rozmawialiśmy o koncentracji, myśleniu, żeby umiał sobie wyobrazić skok, żeby wszystko było jak najlepsze i tak to zaczęło iść. Dzwonił później do mnie i mówił: "Trenerze, już lepiej jest". A ja mu na to: "Jasiu jak wjedziesz na górę, to skoncentruj się trochę, zamknij oczy, wizualizuj ten skok, zdążysz skoczyć te 6-8 skoków, nie bój się", bo niektórzy to wjadą na górę i od razu jadą w dół, bez chwili zastanowienia.

RS: Jeszcze powrócę do tematu końca kariery. Pan kończąc przygodę ze sportem miał niecałe 28 lat. Było to po IO w Lillehammer. Jak to się wszystko stało? Pan normalnie czuł, że byłby Pan w stanie robić jeszcze lepsze wyniki?

SU: Pewnie. Ja przecież do olimpiady w Japonii się szykowałem. Jak usłyszałem, że mój kolega Stoliarow robi medal, to nie wiedziałem co powiedzieć. A on się przecież przy mnie uczył. Trochę się kumpłowaliśmy. Jak się rozpadł Związek Radziecki, to oni też w pewnym momencie nie mieli zawodników. On jeździł sam i ja jeździłem sam i tak się trochę kumpłowaliśmy. Lubił ze mną chodzić na treningi, bo wiedział, że go trochę podciągnę. I na następnej olimpiadzie widzę, że Stoliarow ma medal i sobie myślę "ojej". Ja jak miałem ponad 30 lat, to jeszcze w piłkę grałem i dwa mecze jednego dnia mogłem rozegrać. Do południa i po południu.

RS: W Val di Fiemme medal zdobył przecież Stecher, także to nie tak ważne ile człowiek ma lat, a jak się jego organizm znosi te starty.

SU: Ja się jeszcze dziś czuje tak, że jeszcze mnie korci żeby poskakać, pobiegać z chłopcami. Nie raz mi mówią "trenerze, gdzie to trener tak leci".

KR: No ale jak to się stało, że jednak Pan nie znalazł się w kadrze, bo przecież jakaś kadra istniała?

SU: Celej był kiedyś, Trebunia-Tutka też. Byli później zawodnicy, ale tak jak mówię - zapomnieli sobie o mnie, tak mnie zostawili, co mnie zabolalo. Wtedy co skończyłem, to było to 75-lecie PZNu i nawet zaproszenia nie dostałem. I to tu w Zakopanem organizowali w Kasprowym.

KR: To od tak ktoś powołuje kadrę i może nie powołać najlepszego zawodnika?

SU: Nie wiem. Nie wiem. Do dziś mnie to zaskakuje. Tak mnie zdołowali, że jej. Człowiek się tak poniewiera i gdzieś tam szuka zarobku. Człowiek powinien się cieszyć jakimiś sukcesami, zawodnikami, że wychował coś. Przecież to jest moje życie. Nie raz to mi się płakać, tak chciało, że jej. W innych narciarskich krajach pewnie by mnie tak nie zostawili. Tym bardziej jakbym chciał iść dalej w kierunku sportu. W Niemczech czy w Norwegii się dba o byłych zawodników. Pewnie doświadczenia mają i je przekazują, szkołą.

KR: Czy jakby dostał Pan propozycję prowadzenia kadry, to chciałby się Pan realizować jako trener czy już teraz nie widzi się Pan w tej roli?

SU: Ja nawet pisałem w tej sprawie do prezesa Tajnera z którym mam dobre kontakty, choć też jakoś mnie unika. Szkoda mi tych chłopców w kadrze, bo to naprawdę fajni chłopcy. Martwi mnie, że już niektórzy myślą o zmianie dyscypliny albo tracą motywację. Trener i zawodnik muszą się uzupełniać - to trzeba czuć, aby wszystko zawodnikom przekazać. To tak z Panem Tadeuszem Kaczmarczykiem kiedyś się świetnie rozumieliśmy. Spotkaliśmy się na MŚJ w 1984 roku jak był w Norwegii. Podszedł do mnie, dał mi mówiąc szczerze 500 dolarów. Najważniejsze jednak były rozmowy, bo to nie chodziło o pieniądze. Ja nie chciałem nawet, bo zawsze mówili o mnie "skromny Stasiu". Mieć kontakt, rozmowa. Bo czułem jego, a on mnie czuł. Trzeba mieć podejście. Czasami bez słów ludzie się rozumieją. Nawet jakby trener miał złote plany, to i tak czasami może brakować tej więzi z zawodnikiem i odpowiedniego podejścia. Każdy organizm jest inny, każdy zawodnik jest inny i nie można trenować na jedno kopyto. Dzięki Panu Tadeuszowi Kaczmarczykowi i Panu Franciszkowi Gronowi robiłem postępy. Oni potrafili dać coś od siebie, bo trener musi mieć coś wewnątrz siebie. Chłopcy nie raz sami zaczepiają mnie, przyjdą, porozmawiają, zapytają mnie "jak się trenerowi podobało, jak to wygląda ". Niektórzy zawodnicy mówią, że jakby trener był, to by było inaczej. No ale tak jak mówię. Jakby była taka propozycja, to oczywiście, że tak. Ja nie jestem taki stary, żeby jeszcze chłopców nie wychować. Potrafię i chłopcom pokazać i biegać. Nie raz jeszcze w szoku są chłopcy jak im coś zademonstruję, że oni tego nie potrafią. Wszystko się da. Jasiowi Łowiszowi pewne rzeczy pokazałem, pewnych nauczyłem i zmobilizowałem. Mi się wydawało, że to zaprocentowało i procentuje, bo mamy kontakty nie raz jeszcze telefoniczne i pytają o to czy o tamto. Także ja ich tak mobilizuje troszeczkę.

KR: Podsumowując. Jakby ktoś Panu teraz złożył taką propozycję, to by Pan nie odmówił prowadzenia kadry? A może wołałby Pan być tylko konsultantem?

SU: No pewnie, że bym nie odmówił. Trzy lata temu napisałem pismo do PZNu, że chętnie bym pomógł i wcale nie muszę być pierwszym trenerem. Rozmawiając z chłopcami wiem, że nie mieliby nic przeciwko temu. Dałem taką propozycję, że chciałbym przekazać swoje doświadczenie. Chciałem się poświęcić dla kombinacji, bo najważniejsi są zawodnicy, a w drugiej kolejności myślałbym o sobie. Odpowiedzi nie dostałem, także nie wiem co o tym myśleć. Kiedyś były takie tłumaczenia ze strony związku, że Staszek alkoholu nadużywa. Choć oczywiście nie powiem, że zdarzało mi się, ale czy ktoś się kiedyś spytał "Dlaczego Staszek tak postępuje? Co się z nim dzieje?". To było po prostu łatwe wytłumaczenie, ale teraz uważam, że wciąż stać mnie na to, żeby jeszcze pomóc polskiej kombinacji.

KR: Czy ma Pan papiery na prowadzenie kadry? Prawnie czy regulaminowo nie byłoby problemów, żeby został Pan trenerem?

SU: Tak, mam papiery trenerskie, a klasę odpowiednią zawsze można zrobić.

KR: Jakby Pan podszedł do swojej ewentualnej pracy w kadrze?

SU: Zawodnik powinien być najważniejszy i taką zasadę miał Pan Tadeusz. Zawodnik, trener, a później działacze. Często bywa odwrotnie - działacze, trener, zawodnik, a jeszcze między zawodnikiem ktoś się znajdzie. Pan Tadek tak nauczył Austriaków, że zawodnik, to jest święta rzecz. Jak kiedyś będę trenerem, to najważniejszy dla mnie będzie zawodnik. No ale ciężko wprowadzić takie zasady. Nie raz trzeba chłopcom powiedzieć - pokaż, zmobilizuj się. Jak się załamiesz, to znaczy, że nic z tego nie będzie. Trzeba umieć wpływać na chłopców. Nie raz pogłaskać, a nie raz strzelić w dupę i nie ma zmiłuj się. Jak to się mówi bicza wziąć i zasuwamy, a nie raz pogłaskać, pośmiać się. Trzeba być kolegą i ojcem. Zwłaszcza z tymi młodymi chłopcami, ale najpierw trzeba poznać wszystkich chłopców. Takich młodych zawodników właśnie nie można się bać trenować. Tak jak Kacperek Kupczak, od małego był uparty, starał się dotrzymać kroku Szczepanowi, a nawet go wyprzedzać. Wtedy zawsze mi się chciało śmiać i krzychałem do niego "Kacperek daj spokój". Tak jak wcześniej mówiłem paru tych wychowanków miałem, bo i jeszcze Pyclika też.

KR: Czy aktualnie jest Pan trenerem w jakimś klubie?

SU: W tej chwili nie. Często pracuję za granicą.

KR: Wcześniej Pan trenował w Zakopanem?

SU: Pierwszą trenerkę zacząłem w Sokole Szczyrk. To było po tym bumie Adama Małysza, kiedy założyliśmy sekcję skoków. Wtedy były tylko zjazdy i rowery górskie.

KR: A później Pan znalazł się tutaj?

SU: Później nie trenowałem, miałem troszeczkę problemów osobistych. Wyjechałem na dwa lata do Francji. Później jak wróciłem, to w 2007 roku rozpocząłem treningi w Starcie Krokiew Zakopane. Przez 3 lata, współpracowałem m.in. z Kaziem Długopolskim. Potem znów nie było etatu. A tą ostatnią zimę przepracowałem w Wiśle, w klubie na Jagiellońskiej - Dokonałe Mleko. I też już jest po etacie. Byłem do końca marca. A tam też taką fajną grupkę stworzyłem. Kiedyś byli tam tacy bracia Zygmuntowicze.

RS: Janusz i Józef?

SU: Tak, ale był jeszcze taki starszy Robert, który trenował z Robertem Mateją.

RS: Ja pamiętam braci Zygmuntowiczów, jak po tych kilku latach zupełnej posuchy w kombinacji w Polsce byli w stanie przebić się do punktów w PŚ B, co wtedy było nie lada wyczynem. Ciężko wtedy było szukać jakichkolwiek pozytywów.

SU: Stefan Habas był ostatnim, który wygrał tutaj PŚB w Zakopanem, w 1997 roku. I wtedy do Zygmuntowiczów żadnych wyników nie było.

RS: Nie chcę skłamać, ale tej posuchy w polskiej kombinacji było chyba z osiem lat. Pamiętam jak zacząłem się interesować kombinacją w 1999r. i Kazimierz Bafia był 26.

podczas MŚ w Ramsau, to od tamtego czasu nie było żadnych znaczących osiągnięć naszych zawodników. A przecież w historii mieliśmy wielu zawodników, co na IO/MŚ wchodziło do dziesiątki czy dwudziestki.

SU: Jak nie było jeszcze PŚ, to nasi zawodnicy potrafili sięgać po najwyższe lokaty w tych najważniejszych zawodach międzynarodowych (takich jak w Oberwiesenthal, Schonach, Reit im Winkel, Oslo, Falun). Mieliśmy pakę niesamowitą, tylko zawsze dopadał ich pech na tych najważniejszych imprezach. A jak już przyszły IO, to z trudem wywalczali miejsca w dziesiątce. Pamiętam jak w 1980 w Lake Placid Jan Legierski zajął 10. miejsce, a nie był z naszych najlepszy, bo i Długopolski, i Kawulok i Pawlusiak startowali od niego lepiej przed IO. Stefan Hula Senior zdobył brąz na MŚ w 1974 w Falun. A jechał tam jako rezerwow. Postawił na niego Pan Tadek, miał nosa, umiał wyczuć zawodnika. Pan Tadek obserwował warunki i wiedział, że na skoki przyjdzie zmiana - będzie odwilż, a Stefan był "kopyciarzem" niesamowitym. Skocznia w Falun była bardzo wymagająca. Jak się tylko słabiej czuleś, nie miałeś sił w nogach, to nie było szans na dobry wynik. Zakopiańczycy mieli pretensję jeszcze.

RS: Za to, że zdobył medal?

SU: Nie, za to, że wystawili Hulę. A Pan Kaczmarczyk zaczął sobie kalkulować, oglądał prognozę pogody. Na skoki miała być odwilż, a na bieg miał wrócić mróz. Stefan słabiej biegał, ale jak przyjdzie mróz, będą szybkie warunki, to jak skoczy dobrze, to łatwiej będzie mu utrzymać dobre miejsce. I w ten sposób zdobył medal. A tak to nie byłoby medalu i żadnego zawodnika w dziesiątce. Ale taki trener jak Pan Tadek to rzadko się trafia. Podobnie jak ś.p. Górski w piłce nożnej. Potem się go pozbyli i jak Austriacy się dowiedzieli, że tutaj go nie chcą, to od razu go zaprosili do siebie i wyjechał do Austrii. Stworzył tam taką grupę, że jej. Pamiętam jak przywiózł tutaj Sulzenbachera na międzynarodowe mistrzostwa szkół sportowych, to Klaus wyglądał na nartach jak na szcudłach. Nie umiał ustać skoku, przewracał się tu.

RS: A potem został dwukrotnym zwycięzcą PŚ.

SU: Tak, a do tego medale MŚ i IO. Klaus super chłopak. To widać po chłopcach, bo jednak osiągają wyniki nie jakieś tam debile. Mądrzy, inteligentni, przede wszystkim nie zrozumieli.

RS: Jak tak z Panem rozmawiamy to da się odczuć, że ma Pan zadatki na bardzo dobrego psychologa. Rozumie Pan sytuację zawodników, wykazuje się Pan dużą dozą empatii. A ja uważam, że trener poza tym, że naucza i wymaga, powinien być kimś takim, co usiądzie z zawodnikiem, wysłucha go, zrozumie jego stanowisko i pomoże dobrać mu do jego umiejętności, dyspozycji, parametrów, odpowiednie metody treningowe.

SU: Zgadza się.

RS: I też każdego zawodnika trzeba w jakiś inny sposób motywować. Do jednego trzeba z batem, a do innego grzecznie.

SU: Można mieć złote plany, ale i tak się nic z tego nie zrobi, bo trzeba umieć podejść do każdego chłopca indywidualnie.

KR: Jaka jest wg Pana optymalna liczba zawodników w jednej grupie treningowej?

SU: Myślę, że szóstka to jest taka fajna grupka. Więcej już raczej nie, bo wtedy trener nie ma odpowiedniej ilości czasu aby poświęcić dostatecznie dużo uwagi każdemu zawodnikowi. Wtedy jest wewnętrzna rywalizacja o miejsce w drużynie. Czy nawet jak będzie jakaś kontuzja, to jest ktoś kto może wskoczyć na wolne miejsce. Ale trzeba mieć też dodatkowo, gdzieś z boku grupkę juniorów. Tak jak Pan Tadek stworzył grupkę juniorów sześciuosobową. Na niektóre zgrupowania brał nas ośmiu. 6 seniorów i 2 najlepszych juniorów. Także powinno to być w ten sposób moim zdaniem.

RS: Juniorzy powinni mieć punkt odniesienia jak to wygląda w kadrze seniorskiej.

SU: Tak i powinna być ta wewnętrzna rywalizacja. I jak to się mówi, ci najlepsi juniorzy powinni brać się za dupę tym seniorom, żeby oni czuli się zagrożeni. Nie może być tak, że jak się dostanie do kadry taki chłopak, to czuje się już jak gwiazda. A rywalizować nie ma z kim, bo kto z tyłu będzie z nim walczyć? Także on się o to miejsce swoje nie musi bać i wg mnie chłopcy też tracą przez to motywację. Musi być rywalizacja.

RS: No tak, ale gdzie tu jest idea sportu, jak taki zawodnik wejdzie do kadry, spoczywa na laurach i nie chce piąć się wyżej na tej drabinie swojej sportowej kariery?

SU: Tego trzeba też uczyć chłopców. Trzeba brać z nimi udział czynnie w treningach.

KR: Zmieniając temat. Pyclik jak byliśmy w ostatnim sezonie na PK w Wiśle, to trenował coś w klubie, no bo jednak wystartował w zawodach. Czy on dalej jeszcze trenuje?

SU: Pracuje z dziadkiem i tatą. Mają swoją firmę w Gilowicach, więc tak i trenował i pracował. Ale i tak jeszcze nie szło mu źle. Też miałem okazję z Michasiem pracować, uczyłem go pod kątem kombinacji. Dużo po górach z nimi chodziłem, jak byli tacy mali chłopcy. Jeździliśmy do Wisły, bo w Szczyrku tras nie było. Uczyłem ich wszystkiego. Michaś zawsze mi się podobał ze względu na to, że był uparty. Szkoda mi też go trochę. Brzydki upadek miał, trochę tą nogę tak niefortunnie złamał. Trzeba było dobrze popracować nad tą chorą nogą, żeby nabierała czucia jak ta druga. Moim zdaniem na pewno nie miał czucia takiego jak w tej drugiej. Kontuzja była dość poważna, nawet i nerwy troszeczkę pozrywane. Ale przecież to wszystko da się zrobić, bo wiadomo, że dzieciom wszystko lepiej się goi niż dorosłym.

KR: Czy miał Pan okazję startować z Janem Klimko czy jako zawodnicy się Panowie nie znali?

SU: Jako zawodnicy się znaliśmy i coś tam się kumpłowaliśmy. O ile można powiedzieć o kumpłowaniu się, bo kolegę tam miałem jednego. Nazywał się Frantisek Repka. Dostyć dobry wtedy dwuboista Czechosłowacki. Z Janem Klimko raczej z zawodów się znamy i znam go dostyć dobrze. Ja myślę, że z Jankiem we dwóch byśmy mogli dobrze podziać jako trenerzy. Był to zawodnik solidny, ambitny i pracowity i takim człowiekiem jest. Źle na pewno nie chce i być może chciałby pewne rzeczy pozmienić, ale nie zawsze to jest możliwe...

KR: Czyli z Janem Klimko mógłby się Pan dogadać i współpracować?

SU: Tak sobie myślałem nawet i proponowałem związkowi. Ja myślę, że z Jankiem byśmy się porozumieli. Przy moim doświadczeniu, ambicji i zaparciu i jego też, to byśmy coś stworzyli. To nie tylko ambicja, ale też trzeba by było mądrze trenować. Na pewno byśmy stworzyli też otoczkę taka inną, bardziej rodzinną.

KR: Rodzina to ta otoczka jest.

SU: (śmiech) Mówię oczywiście o grupie chłopców. Żeby oni się między nami dobrze czuli. Żeby widzieli sens swojej pracy. Jakbyśmy dostali Igrzyska Olimpijskie, to to by była nadzieja dla kombinacji, bo już by była presja, żeby osiągać wyniki. U siebie w kraju byśmy nie mieli zawodników, którzy by mogli wystartować? Nikt by na to nie poszedł.

RS: Po pierwszym sezonie pracy Jana Klimko w kadrze widać spory postęp w biegu. Niestety na skoczni można zaobserwować regres formy.

SU: Tak, bo Janko skakał tylko stylem równoległym. Nie miał do czynienia ze skokami od 1989 r. Wszystkie te nowinki techniczne są mu obce. On potrzebuje kogoś, kto się zna na skokach.

RS: Czyli uważa Pan, że z dobrym trenerem od skoków mogliby stworzyć ciekawy duet?

SU: Oczywiście, że tak. Uważam, że Janko to jest dobry trener, tylko potrzebuje kogoś, kto pomoże mu pociągnąć tą kadrę skokowo.

KR: A jak ocenia Pan obecny stan polskiej kombinacji? Chyba wszyscy liczyliśmy kilka lat temu na lepsze wyniki naszych zawodników.

SU: Boleję nad tym. Poświęciłem się tyle. Myślałem, że będę całe życie związany ze sportem. Żyje tą nadzieją, że ja jeszcze nie powiedziałem koniec. Jeszcze nie mam dość wszystkiego. Szkoda mi, bo to naprawdę fajni chłopcy i z paru na pewno coś bym wyciągnął i wykresał. Powinniśmy się szczyć kombinacją, a nie wstydić jej. Juniorów jeszcze mamy dobrych, bo w klubach troszeczkę pracujemy, ale później są już problemy.

RS: Jakby Pan mógł zmienić wszystko w polskiej kombinacji to od czego by Pan zaczął?

SU: Pierwsze co bym zrobił, to dobranie sobie odpowiednich ludzi. Łącznie z jakimś psychologiem. Miałem kiedyś kontakty z takim psychologiem, który pracował z Arturem Partyką. Ja właśnie z Włodkiem pracowałem dwa lata i to też mi dużo pomogło. Dobrać ludzi odpowiednich, a resztę co mają, to i tak mają dużo. Nic więcej bym nie kombinował. Tylko treningi odpowiednie prowadzić z chłopcami i byłoby dobrze.

KR: Zna Pan dobrze prezesa Apoloniusza Tajnera. Jakby Pan się odniósł do jego działalności?

SU: Apoloniusz Tajner to jest naprawdę człowiek na swoim stanowisku. Organizacyjnie nie znajdziemy lepszego. Ma plecy, ma swoją osobę, ma swoje nazwisko. Nie znajdziemy prezesa, który załatwi to co on. Tylko, żeby koło tego ludzie odpowiedni byli. On stworzył Adamowi Małyszowi naprawdę bardzo dobre warunki. Nie jako trener, ale jako organizator. Swoje doświadczenie ma, bo nas parę ładnych lat trenował. Wie o co w tym wszystkim chodzi. Poło jaki było taki był, ale chodził z nami w góry. Na kajakach z nami był. Biegał po

lasach. Był zawsze z nami przy takich treningach. Na sali zawsze z nami był. Akrobatyka, czy w piłkę, czy w siatkę zagrał. Robił trening z nami. Trener musi być za chłopcami. Poło to był taki świr - to salta, to to, to tamto. Wszystko robił z nami. Po linach treningi. Na siłowni sobie też coś pomachał rękami. Na pewno mam żal o kilka spraw, bo chciałbym jeszcze pomóc tej naszej kombinacji, ale organizacyjnie nie znajdziemy lepszego. Poza organizacją ważni są właśnie ludzie w związku, w kadrach, bo same pieniądze, to nie wszystko.

RS: Mi się wydaje, że Apoloniusz Tajner kombinacji norweskiej jakoś nie poświęca tyle uwagi, pomimo że był z nią związany.

SU: No sam był zawodnikiem i trenerem. Przy kombinacji po prostu nie ma pieniędzy. To nie jest w Polsce, a często też na świecie medialny sport. Skoki mężczyzn to inna bajka.

KR: A jakby Pan ocenił byłego już prezesa Włodarczyka?

SU: Do niego też mam taki lekki żal właśnie o olimpiadę. Chodziło mi o Pana Andrzeja Szmatlana. Odezwałem się w tej sprawie, ponieważ wtedy zarząd PZN był w naszym okręgu, czyli w TZN. Przyszedłem ze swoimi propozycjami, a on delikatnie mówiąc, powiedział, że mi, że chyba za wiele żądam. Tak mnie potraktował jakbym nie wiem skąd przyszedł, jak człowiek z ulicy, a tu przecież chodziło o medale na olimpiadzie. Ja byłem nastawiony psychicznie i wiedziałem, że mnie stać na to, żeby walczyć o ten medal, ale tak moje pomysły wtedy potraktowano. Ja tylko mówiłem, żeby ten człowiek był ze mną, żebyście mu od czasu do czasu pozwolili jechać na jakiś Puchar Świata. Żeby dostał jakiś dres, bo tu nie chodziło o pieniądze. Nie potraktowano mnie poważnie. Wyszedłem, a później się odezwałem - wy medali chcecie?

KR: Zna Pan może taką osobę, która mogłaby w związku być odpowiedzialna za kombinację? Kogoś kto by się poświęcił dla tego sportu?

SU: Edek Przybyła by się nadawał na takie stanowisko. Może nie na prezesa, ale człowieka odpowiedzialnego za kombinację w Polskim Związku Narciarskim. Zaszczepiłem go w tą kombinację, polubił to. Nawet swojego syna Kubę nastawiał cały czas, a on ma typowe warunki na skoczkę. Poświęcił nawet syna dla kombinacji.

KR: Czy mógłby Pan wymienić trenerów w Polsce, którzy w jakiś sposób Pana zdaniem się wyróżniają?

SU: Na pewno Józef Jarząbek. Józek bardzo się poświęcił dla tego sportu. Wiadomo, że skoki są bardziej opłacalne, ale pomimo to zrobił bardzo dużo dla kombinacji w naszym kraju. Józek jest taki dość ambitny chłopak, stara się. Był też ambitnym zawodnikiem, czasem aż za ambitnym.

KR: Czy myśli Pan, że Józef Jarząbek będzie chciał aby jego syn startował w kombinacji, czy tylko w skokach?

SU: Na razie Józek o tym nie myśli. Jego syn ma dopiero 14 lat i jest jeszcze czas na podjęcie decyzji. Póki co niech pracują, bo ta siła i wytrzymałość, którą trenują, zaprocentuje w przyszłości. Uważam, że wszyscy młodzi zawodnicy, nie tylko kombinatorzy, ale i skoczkowie, powinni włączać do swojego treningu marszobiegi i biegi. Jest jeszcze dostatecznie dużo czasu na zmianę dyscypliny.

KR: Wydaje się, że z młodszych zawodników największym talentem jest Dawid Jarzabek. Czy widzi Pan jakichś innych utalentowanych zawodników młodszego pokolenia? Przeglądając wyniki rzucał się w oczy Paweł Twardosz, który dość dobrze biega.

SU: Tak, Paweł Chyc to też fajnych chłopak. W Porońcu jest Michał Gut-Chowaniec. Ostatnio dobrze prezentował się Łukasz Długopolski. Kaziu Długopolski poświęcił się ostatnio i widać jak trenują czy to na nartach czy to na rolkach. Mamy kilku fajnych chłopców nadających się do uprawiania kombinacji norweskiej. Szczególnie te roczniki 1999-2001, ale też 1998 czy nawet 1997.

KR: Jak Pan oglądał na przestrzeni tych kilkunastu lat młodych zawodników, to kto byłby dla Pana największym talentem?

SU: Dla mnie to chyba Adam Cieślar. Adam mi się naprawdę już od młodych lat podobał, bo i skoczyć i biegać potrafi. Umie taką "żyłę włączyć" jak to się mówi.

RS: W zeszłym roku miał nawet drugi czas biegu w Pucharze Kontynentalnym.

SU: No mówię, Adama mi szkoda najbardziej, ale mam nadzieję, że jeszcze znacznie osiągać sukcesy. To dla mnie największy talent w tej chwili. Adam jest takim rutynowym skoczkiem, bo nawet lata temu w Pucharze Świata pokazywał, że potrafi skoczyć. To jest typowy dwuboista.

KR: Czy obecnie ogląda Pan kombinację norweską? Kibicuje Pan komuś? Czy tylko Polakom, czy może też komuś z zagranicy?

SU: Rzadko oglądam, bo nie mam Eurosportu ani satelity. Czasem obejrzę u sąsiada. A tak ogólnie to naszym reprezentantom, chociaż nie startują za często w PŚ. Może w tym sezonie będą startować częściej. Ostatnio Szczepan Kupczak był 18. w LGP.

KR: Wg nas pobił rekord Polski w startach w LGP, bo swego czasu Marcin Mąka był co prawda 17., ale przy znacznie gorszej obsadzie, a Szczepan swoją 18. lokatę wywalczył w gronie niemalże 80 zawodników, więc zajął zdecydowanie lepsze miejsce.

SU: Tak, Szczepan to mój wychowanek... Trochę mi go żal, ale mam nadzieję, że jeszcze jakoś to się rozwinie...

KR: Czy Pan od początku kariery trenował Szczepana?

SU: Tak, od dziecka. To mój wychowanek, ja go prowadziłem tak do 2005 roku, w sumie jakieś 9-10 lat.

RS: Wracając do Pana. Czuł się Pan lepiej na trasie czy na skoczni?

SU: Obojętnie mi było, ale później już raczej biegowo, tylko, że to była wina Pola. Nie umieli trenerzy wtedy dobrze zbalansować treningu. Zajechał mnie trochę, zrobiłem bardzo duży postęp w biegu i siadły skoki... Dlatego mówię, że kombinacja jest bardzo ciężką konkurencją, bo łatwo jest przesadzić w jedną albo drugą stronę. Trzeba przede wszystkim

czuć zawodnika. To jest bardzo ważne, żeby go nie zniszczyć, żeby to wszystko jakoś wypośredkować. Bo jednak są cechy motoryczne, które się zabijają, wytrzymałość z szybkością i z dynamiką.

KR: Duża część ludzi mówi, że kombinator to słaby skoczek i słaby biegacz.

SU: Nie no, bez przesady, bo w tej chwili najlepszy dwuboista w skokach wejdzie do trzydziestki i w biegach też wejdzie.

KR: W ostatnich 10 latach to właśnie Manninen dobrze się spisywał w sprintach.

SU: Za moich czasów tak o Eldenie mówiliśmy, to zdobył przy Ulvangu brązowy medal na 30 km. Dwuboista nie może uzyskiwać na skoczni takich wyników jak specjalista. Nie ma takiej dynamiki w nogach jak skoczek, bo jednak jeszcze wytrzymałość trenuje i automatycznie musi mieć słabszą dynamikę.

KR: Teraz kiedy mamy przeliczniki wiatru i belki, to podczas MŚ w Val di Fiemme udało nam się przeliczyć jak kombinatorzy plasowali się na tle skoczków i najlepsza trójka wchodziła do dziesiątki. Niektórzy kombinatorzy wspomagają swoje reprezentacje w konkursach drużynowych, jak np. Jason Lamy Chappuis w Planicy, kiedy skakał w okolicach 200 metrów.

SU: A nie był wtedy najlepszym skoczkiem wśród kombinatorów.

KR: Szkoda, że nie startował w indywidualnym. Bo trzeba mieć punkty PK.

SU: W PK to by spokojnie zrobili sobie te punkty.

KR: Ale to zależy w jakim okresie, bo teraz latem to im zupełnie nie idzie skakanie.

SU: Tak, bo lato to czas na robienie bazy, budowanie wytrzymałości. Obciążenia treningowe wiosną i latem są bardzo duże i dlatego dwuboista nie ma w tym okresie prawa dobrze skakać. Musi zapieprzać, trzeba budować wytrzymałość na zimę.

KR: A Pan w swoich latach zawodniczych był dobry na finiszu? Teraz za specjalistę uchodzi Lamy Chappuis, a Akito Watabe mimo, że dobrze biega to na finiszu zawsze przegrywa.

SU: Ja sobie dawałem radę w każdej sytuacji. Dla mnie to obojętne. Wiedziałem w którym momencie mogę wyprzedzić i kogo. Umiąłem sobie sam skalkulować, ale do swoich możliwości. Też do formy danego dnia. Jak byłem w dobrym gazie, to już wiedziałem kogo na finiszu będę mijał. Tak mniej więcej się już znało zawodników. Jakie straty mam, gdzie którego dojdę, gdzie minę. To kalkulowałem i składałem siły. Jak były jakieś zakręty ostre, to ja się cieszyłem. Jak trasa była nierówna, to był znów plus dla mnie.

RS: Podbiegi Pan lubił?

SU: Bardzo. Zakręty, ostre zjazdy. Takie rzeczy lubilem. Taką techniczną trasę. To czego Justyna nie lubi, ale teraz się już tego nie nauczy. Za późno zaczęła biegać. Dziecko najlepiej łapie i wyrabia sobie to stanie, czucie, i równowagę.

RS: Mimo to jest w stanie takie sukcesy odnosić.

SU: To jest rewelacja. Ona jakby naprawdę jakby wcześniej troszeczkę biegała, miała umiejętności lepsze, to nie mają szans z nią.

KR: Na mamucie Pan kiedyś skakał?

SU: Nie, nigdy. A była taka propozycja. Jak z Wojtkiem wygrywałem to się śmiali trenerzy i działacze. "Chyba Staszka musimy wziąć", bo Mateja wtedy jeszcze słabiej skakał ode mnie. Praktycznie skakałem tak jak Wojtek, a on był wtedy w dość dobrej formie. No ale ja miałem swoje Puchary Świata i dlatego nigdy nie startowałem. Do Oberstdorfu chciałem nawet pojechać. Bo to jest taka skocznia trochę podobna do naszej.

KR: W seniorskich Mistrzostwach Polski potrafił pan nawiązać rywalizację ze skoczkami.

SU: Regularnie medali nie zdobywałem, ale dwa razy mi się udało. W szóstce byłem parę razy. Jeszcze za czasów Piotrka Fijasa. Wtedy to nas i po 100 startowało.

KR: A w biegowych mistrzostwach Pan startował?

SU: Nie, nie. Tylko w sztafetach startowaliśmy. Nie zdarzyło się, bo po prostu nie było okazji. W sztafecie medale Mistrzostw Polski miałem, ale jakbym startował indywidualnie, to kto wie co by to dało. Raz biegliśmy w drużynie sami dwubości, a raz z jednym biegaczem. Pamiętam jak na ostatniej zmianie wyprzedziłem Mistrza Polski w biegu na 15 km, który był rozgrywany dwa dni wcześniej. Wyprzedziłem go już na pierwszym kółku, bo wtedy biegliśmy 10 km na dwóch rundach po 5km.

RS: To musiało być mobilizujące, że dwuboista, a potrafi rywalizować ze specjalistami.

SU: No na tym to polega. Dwuboista musi być i w skokach i w biegach na dobrym poziomie. Ja nie mówię o wygrywaniu, ale koło tej czołówki musi być, jak chce być dobry. Czy ze skoczkami czy z biegaczami. W tej chwili, to polscy dwubości będący na światowym poziomie powinni walczyć o medale w biegach narciarskich, bo tam też ta sytuacja nie wygląda najlepiej. A ze skoczkami powinien do tej dziesiątki wchodzić. Przecież nasi chłopcy kręcili się koło takich miejsc startując ze skoczkami. Jakby te skoki zostały u Adama, to by było dobrze. Za moich czasów też była paka tych skoczków.

KR: Czy uważa Pan, że kombinator powinien lepiej biegać czy lepiej skakać? Czy powinien i nieźle biegać i nieźle skakać? Jak Pan to widzi?

SU: Już od młodzika powinni trenować bieg. Podstawą jest to, żeby posmakowali trochę tej wytrzymałości. To jest baza do treningu, bo na tej bazie możesz wychować dobrego skoczka. To jest moja zasada, wg mnie to jest najważniejsze. Zauważcie, że niektórzy nasi chłopcy to dobrze jeździć na nartach nie umieją, bo gdyby nie było torów, to by się pozabijali. Trening na biegówkach wyrabia równowagę, koordynację ruchową, czucie, stanie, środek ciężkości - tylko biegówki, to jest podstawa moim zdaniem. A do tego oczywiście trening skokowy. Bo jak nie będzie miał czucia nart, to nie dojedzie dobrze do progu, a to jest wg mnie bardzo istotne. Latem treningu na nartorolkach raczej już skoczek tak bardzo nie potrzebuje, bo to

jest już inne bieganie. Krzysiu Biegun tak zaczynał treningi, a teraz jest już dobrym skoczkiem.

KR: Pamiętam jak w najmłodszych latach m.in. Tomasz Byrt, Olek Zniszczoł zdobywali czołowe miejsca w MŚ dzieci w kombinacji norweskiej.

SU: Jasiu Szturc to samo robi z chłopcami. Jako młodzi startują zarówno w skokach jak i kombinacji. Przez parę lat współpracowaliśmy razem w Szczyrku. Dawał mi pewne obowiązki jeśli chodzi o bieganie z chłopcami. A tak jak mówię, Adam Małysz też miał mistrza Polski juniorów w kombinacji. Zdobył brązowy medal jako junior jak ja kończyłem karierę w 1994 roku. Ja miałem wtedy dwa medale MP w skokach, srebrny na normalnej i brązowy na dużej skoczni. Kiedy wygrywał Piotrek Habas, Adam zdobył srebro. Małysz uprawiał kombinację do 17-18 roku życia.

KR: A jak się Pan zapatrywał na ten transfer Tomasza Pochwały do kombinacji norweskiej? Wierzył Pan, że uda mu się zdobyć punkty Pucharu Świata?

SU: Tomek zrobił błąd, bo ja go dwa lata wcześniej namawiałem (Pochwała zaczął startować w kombinacji od sezonu 08/09 – przyp. red.). Dwa lata wcześniej, żeby zaczął, to by było dobrze. On po tym upadku w Planicy jeszcze wrócił, ale to już w psychice zostało. Do szóstki w kombinacji, to powinien minimum wchodzić na skoczni.

RS: Raz w Ramsau mu się udało. Był wtedy bodajże szósty.

SU: No udało mu się wtedy zakręcić koło trójki, ale dalej uważam, że dwa lata wcześniej i byłoby o wiele lepiej. Jeszcze miał taką nadzieję, że jeszcze wróci do dobrego skakania i będzie w tej kadrze. To już było widać, że nie i to był moment, żeby zacząć tą kombinację.

KR: A myśli Pan, że wtedy stać by go było na plasowanie się w dziesiątce Pucharu Świata?

SU: Jakby po tym upadku wrócił i zaczął szybciej trenować kombinację, to może by się udało. Ale trzeba by go było skokowo przypilnować jednak. Bardziej skokowo go pilnować, a biegowo stopniowo wchodzić. On biegać przecież umiał, bo od dziecka był szkolony przez tatę Leszka Pochwałę. Tego się nie zapomina, bo to jak jazda na rowerze.

RS: A nie chciał zaczynać od kombinacji?

SU: Nie chciał właśnie. Jakby troszeczkę wcześniej zaczął. A namawialiśmy go. Ja mu mówiłem "Tomek nie zastanawiaj się. Twój dziadek jest też za tym", no ale nie udało nam się.

KR: A Pan coś trenował z nim jak przechodził na kombinację?

SU: Nie, nie trenowałem. Tak go obserwowałem. Czasem mu coś podpowiadałem, jak się gdzie spotkaliśmy na biegówkach. Na skoczni też z nim parę razy byłem.

KR: Nie wiem jak było za Pana czasów, ale teraz kombinatorzy zarabiają dosyć małe pieniądze jak na tak ciężko pracujących sportowców. To jest 5000 CHF za zwycięstwo.

Ktoś kto jest najlepszy, to przez cały sezon nie zarobi tyle co inny sportowiec przez miesiąc. Jak to wyglądało u Pana?

SU: Myśmy nie mieli nic. Później zaczęły wchodzić nagrody finansowe. Jak byłem drugi, to dostałem 1000 marek. Ale to wtedy głównie Niemcy fundowali nagrody, nie wszystkie Puchary Świata.

KR: A za zwycięstwo PŚ B coś Pan dostał?

SU: Dostałem jakiś tam zegarek, taki dość fajny. Do tego jeszcze pamiątkowy puchar.

KR: A jak Pan startował, to nikt Pana nie namawiał, że może w skokach albo w biegach Pan więcej zarobi? Czy wtedy w innych dyscyplinach też się nie dało wtedy zarobić?

SU: Raczej też, bo wtedy te stypendia sportowe były jednakowe zależne tylko od klasy jaką masz - pierwsza, mistrzowska albo międzynarodowa mistrzowska. Za pierwszą klasę też się już dostawało. Był taki moment w latach 80 kiedy startowałem, kiedy pierwsza klasa była bodaj 6 tysięcy, mistrzowska była 9, a 12 była międzynarodowa.

KR: A latem w Pana czasach były jakieś zawody? Cykl Letniej Grand Prix powstał dopiero w 1995 roku.

SU: No pewnie, że startowaliśmy na nartorolkach. Były takie zawody i to duże - Niemcy i Czechy. Najpierw właśnie w Niemczech, już nie pamiętam gdzie, a później w Czechach w Lomnicy nad Popelkou. Tam przyjeżdżali wszyscy. Szwajcarzy, Austriacy, Rusczy, Czesi, Niemcy, Norwegowie. Byłem bodajże dziesiąty w Niemczech i czwarty w Czechach swego czasu na nartorolkach. To właśnie był taki odpowiednik Pucharu Świata.

RS: A jakby Pan ocenił techniczną różnicę między nartorolkami, a nartami?

SU: Jest dosyć duża różnica. Można pewne rzeczy wypracować na rolkach. Siłę mięsi potrzebną do łyżwy można zbudować, ale to trzeba wiedzieć po co się trenuje i po co się biega na tych rolkach. Nie tylko dla samego treningu. Trzeba czuć co jest mi potrzebne do biegówek. To jest jednak inne bieganie, krótsza narta, inne odbicie na gumie. Są rzeczy, które na rolkach można wypracować i które się przydają na biegówki. Tu chodzi po prostu o podobny ruch, czyli imitacja biegania na biegówkach. Wiadomo, że wzmacnia się górę, bo to jest cięższe bieganie. To trzeba wszystko dobrze zaplanować. Trzeba wiedzieć co się chce osiągnąć dzięki danemu treningowi. To jest imitacja biegania. Techniki się na rolkach nie da wypracować. To dłuższa narta, inne tereny, inne tarcie, inny ślizg, inna jazda.

KR: Podczas letnich treningów wolał Pan biegać czy jeździć na rowerze? Miał Pan dostęp do nartorolek?

SU: Nartorolki były zawsze, tylko te nasze wyglądały zupełnie inaczej niż obecne. A ciężkie były, że jej. Jak byłem małym chłopcem to ciężko było udźwignąć, a co dopiero biegać. Jeździłem też trochę rowerem, ale ja wolałem biegać po górach. Dla mnie to jest najlepszy trening. Na tych kamieniach i nierównościach można sobie świetnie wypracować stawy skokowe. Ja nigdy z tym nie miałem problemów, do dziś nie mam, chwała Bogu. Tak samo kolana. Pamiętam jak jeździliśmy przed IO/MŚ na badania do Warszawy, to lekarze się mnie pytali czy ja w ogóle trenuję skoki, bo miałem stawy, kolana takie jak młody chłopiec, który

by nic nie robił. Ale to też może zależało od budowy ciała, bo każdy ma inną fizjologię, może jakieś uwarunkowania genetyczne. Ale treningi też dużo dawały. Trzeba wzmacniać wszystko. Nigdy nie miałem problemów z kontuzjami. Byłem na tyle sprytny, że potrafiłem też upaść, obrócić się. Zdarzało się, że bez narty wyleciałem z progu na średniej krokwi. Wylądowałem 60m na plecy i tyle. Normalnie leciałem, nie przestraszyłem się, potem obróciłem się i nic mi się nie stało. Po to też trzeba poświęcać czas na treningach na akrobatykę. Myśmy na basenach z Polem trenowali skoki do wody, salta. Tu muszę mu przyznać rację, bo on to był akurat wariat pod tym względami. I to się przydawało, bo przy takim upadku to wiedziałem co mam zrobić.

KR: Jak był Pan juniorem, to od razu chciał Pan być kombinatorem?

SU: Ja wiem... Chyba tak. Zdobywałem medale w skokach, ale polubiłem biegać. W 1977 r. jak powstała szkoła sportowa, to zacząłem do niej chodzić. I tak zacząłem biegać przy pani Weronice Budnej. Spodobało mi się bieganie, bo od razu przyszły sukcesy, bo i w lidze byłem trzeci. Więc nie tylko skoki, czy kombinacja, ale w biegach też się liczyłem. Bieganie na nartach trzeba lubić i trzeba też umieć to zaszcześcić chłopcom. Dlatego teraz boli mnie jak chłopcy teraz chcą tylko skakać. Ale jak już znajdziesz takiego chłopca co się poświęci, a ty go zaangażujesz, wciągniesz w to i później się okazuje, że z tego nie ma nic... To po co ja to robiłem, tą pracę swoją?

RS: Jakie było Pana najwyższe miejsce w zawodach juniorskich?

SU: Przed MŚJ w 1986 r. zająłem 4. miejsce, ale miałem wtedy pecha niesamowitego. To było w Schonach. Pamiętam jak doleciałem całą grupkę. Tam zawsze była najlepsza obsada, bo dawali najlepsze nagrody rzeczowe. Zegary stojące, rzeźbione, przepiękne. Wszystkie najlepsze kraje startowały. Był wtedy fest mróz i 200 metrów przed stadionem chciałem wyskoczyć na drugi tor, wszystkich bym minął, prawdopodobnie bym wygrał. W momencie jak chciałem zmienić tor, to śnieg był tak zmrożony, że chwyciło mnie jak na gwoździach, wywróciłem się i przyleciałem czwarty. A najlepsze moje miejsce na MŚJ to 13. Byłem wtedy 7. po skokach, ale tak jak mówię, mieliśmy problem ze smarowaniami, narty nie jechały nic. Rosjanin Nikiforow z 11. miejsca po skokach wygrał wtedy całe zawody (MŚJ 1985 w Szwajcarii). Biegałem wtedy podobnie jak on, ale to nieszczęsne smarowanie... Nie było szans. Rok później w USA też wyszła kłapa. Chyba aklimatyzacja, ten najgorszy 4-5. dzień, a wtedy były rozgrywane zawody. Najlepiej startować zaraz po przyjeździe na drugi dzień, albo tydzień wcześniej przyjechać. No ale to też kosztuje.

RS: W tym 86 r. co był Pan 4. w juniorach, to bieg był już rozgrywany łyżwą, czy jeszcze klasykiem?

SU: Wtedy już biegliśmy łyżwą, rok 85 był ostatnim co biegało się klasykiem.

KR: A w jakiś innych sportach Pan startował zanim został Pan kombinatorem? Może w lekkoatletyce?

SU: No pewnie. W piłkę ręczną czy w piłkę nożną lubiłem grać. Jeśli chodzi o lekkoatletykę, to nie mogłem liczyć na nic więcej przy swojej budowie, ale sprint 11,8 potrafiłem biegać bez kolców. 200 metrów kiedyś przebiegłem w Spale, podszedłem do trenera czy by mi dał przelecieć się dwieście metrów. 23,04 wtedy zrobiłem. Pożyczyłem od dziewczyny pierwsze lepsze kolce i tak od strzała pobiegłem. Trener się trochę zdziwił, bo przy moim wzroście to

był dobry wynik. Dyskiem czy oszczepem też lubiłem rzucać. Ja po prostu od urodzenia lubiłem sport i czego bym się nie tknął, to mi się podobało. Na kajakach bardzo lubiłem pływać.

KR: A jak Pan startował, to miał Pan jakąś ksywę zawodniczą?

SU: Paker (śmiech). Bo już jako 13-latek lubiłem się na drążku podnosić i to wiele razy. Jakieś pompki. Taki jeden chłopak z klubu w szkole sportowej ochrzcił mnie Pakerem, bo cały czas coś robiłem, jak to się mówi "pakowałem".

To już koniec trylogii ze Stanisławem Ustupskim w roli głównej.

W Zakopanem rozmawiali Konrad Rakowski i Rafał Snoch.